

# ECHO

DOMU MACIERZYSTEGO

CÓREK MIŁOSIERDZIA

ŚW. WINCENTEGO á PAULO

---

---

## TREŚĆ

**Słowo od Przełożonych (Od Najprzew. Matki) — Oni widzą zawsze oblicze Boga...**

**Wspomnienie o ś. p. Czcigodnym Ojcu Pod-Dyrektorze Księdzu Edmundo Czapex**

**Ku Brazylii... 19 września i dni następne...**

**Inne nowiny — Z Ekwatoru**

**Zmysł społeczny u Siostry Pielęgniarki**

**Wiadomości z Prowincji Krakowskiej — Wspomnienia o ś. p. S. Marii Zarytkiewicz, zmarłej w Tenczynku, dnia 4 stycznia 1949 r., w wieku lat 67, powołania 45 i S. Marii Czarlińskiej, zmarłej w Domu Centralnym w Krakowie, dnia 14 lipca, w wieku lat 69, powołania 46.**

**Za zezwoleniem Władzy Duchownej,**

# ECHO DOMU MACIERZYSTEGO

Październik 1949 r.

## SŁOWO OD PRZEŁOŻONYCH

(Od Najprzew. Matki)

### ONI WIDZĄ ZAWSZE OBLICZE BOGA...

*„Żyjmy jak Aniołowie, by wzlatywać jak oni do naszego Jezusa w blasku wiecznej radości Jego pięknego Nieba”.*

Matka Emilia Maurice.

Podczas gdy towarzyszą mi legiony aniołów wysłanych przez wasze modlitwy, błagające Królowę Aniołów o ich pomoc w ciągu mej podróży do Południowej Ameryki, miło mi wysłać do was Małego Aniołka obowiązanego zanosić wam zawsze myśl macierzyńską.

Wierny swej misji, którą lubi, wiedząc z jaką radością jest wszędzie przyjmowany, w tym miesiącu przeznaczonym szczególnie na uczczenie anielskich legionów Niepokalanej, przekaże wam dyskretne posłannictwo swej słodkiej Królowej.

Św. Wincenty powiedział niegdyś w Konferencji do pierwszych Sióstr naszych słowa, które są dla nas całym programem radości i podniesienia ducha.

„Wasze Zgromadzenie jest wam jakby przedwczesnym rajem, bo w pewien sposób uczestniczycie w szczęściu Aniołów spełniając podobne zajęcia jak te, którymi się zajmują ci błogostawieni duchowie”.

Czy nie dlatego święty nasz Założyciel chciał nam dać białe skrzydła, jako symbol życia anielskiego, jakie wieść winnyśmy. Wszakże żyjemy na ziemi, aby szerzyć miłość, którą modlitwą mamy czerpać nieustannie na łonie Przenajświętszej Trójcy.

Zresztą św. Wincenty korzysta z okazji, by nas wznieść ponad ziemskie próżności, by nas wyrwać temu, co błahe

i przemijające, aby nas podnieść do wyższego królestwa, gdzie żyją uskrzydłone legiony, zajęte jedynie wypełnianiem rozkazów Boga.

*Wszędzie znajdziemy tu raj*, gdy żyć będziemy w obecności Bożej, ulegając bezustannie Jego woli, pełniąc ją w milczeniu, radośnie i z miłością za przykładem duchów niebieskich, którzy bez hałasu, cicho i pokornie wypełniają wysokie i wzniosłe swe posłannictwo.

Tu na ziemi, nasze jest równie ważne. Bóg wiele od nas oczekuje. Powierzył nam niezliczone dusze ubogich, kalek, chorych, starców i grzeszników. Dusze, które często zapominają, że mają przy sobie niebieskiego stróża i nieraz obrażają jego spojrzenia.

Urząd nasz jest prawdziwie podobny do urzędu Aniołów. Mamy prowadzić, oświecać, radzić, czuwać, kierować. Uważają nas nawet niekiedy za widzialnych aniołów, gdy nasz kornet delikatnie i z pobożnością pochyla się nad cierpieniem i gdy się odczuwa, że duch Boży ożywia nasze czyny, i nasze słowa. Gdy budujemy przez naszą skromność i słodycz, gdy podziwiają w nas dobroć współczującą i zupełne zaparcie się siebie. „To anioł”, słyszy się nieraz o niektórych przykładowych Siostrach. Lud zna je dobrze i nie myli się w ocenie ich moralnej i duchowej wartości. Niewiele mówiąc wymownie nauczają. Pozdrawiają je, szanują, kochają, bo odczuwają w nich Boga.

*Żyjmy w obecności Boga.*

Aniołowie nigdy nie tracą Go z pamięci. Oni w Nim żyją i działają. Co mogłoby nam przeszkodzić, byśmy nieustannie chodziły w obecności Boga, skoro wszędzie w Nim żyjemy i w nim jesteśmy zanurzone, a On wewnątrznie przenika nas swoją łaską i swym światłem.

Nasz prosty katechizm Zgromadzenia, który dobrze pamiętamy, już w Seminarium nauczył nas tego przez swe jasne i praktyczne porównanie do gąbki żyjącej w morzu. Zanurzona i otoczona wodami Oceanu, jest nimi całkowicie przeniknięta. To prawdziwy obraz Bóstwa przenikającego nasze życie. Bóg jest w nas, a my w Nim. Czy możemy usunąć się od Jego obecności?

Chodźmy jak Aniołowie w obecności Boga i postępujmy jak oni, działając ze skromnością i skupieniem, z wielką czystością intencji, w jedynym celu podobania się Temu, któremu służymy...

Wtedy Reguła będzie wszędzie po zakonnemu zachowana, milczenie pobożnie przestrzegane, obowiązki skrupulatnie wypełnione, praca sumiennie wykończona miłość należycie praktykowana, posłuszeństwo przyjmowane w sposób nadprzyrodzony, prośby o pozwolenia przedstawiane z prawością, władza uważana po Bożemu, powołanie cudownie zrealizowane. Jakież byłoby to szczęście!

Bóg jest tu. Oko jego widzi nas tam nawet, gdzie żadne inne nas nie dojrzy. Przypomnijmy sobie pierwszą zbrodnię Kaina, który chciał uciec przed okiem Boga. Poeta przedstawiając wyrzuty sumienia ścigające bratobójcę kryjącego się przed nimi aż w podziemnym lochu, kończy swą tragiczną opowieść tymi słowami: „Oko było w jaskini i spoglądało na Kaina”.

Bóg na mnie patrzy. Bóg odkrywa te uchybienia przeciw ubóstwu, które popełniamy sądząc, że Siostra Służebna nic o nich wiedzieć nie będzie. Godne nagany niewierności Regułom, na które sobie pozwalamy gdy władza nie patrzy; Bóg je zna. Te pokątne rozmowy, niezyczliwe krytyki, w których wylewa się najniższe uczucia skażonej duszy: Bóg je słyszy. Te różne uszczerbki w naszym całkowitym oddaniu się Bogu: Bóg je mierzy i waży.

Tak często jesteśmy daleko od Niego przez rozproszenie, przez szukanie czegoś poza Nim, własnego zadowolenia, własnych updobań, naszych wygod, może jakiego stworzenia... Czemu nie starać się przejąć Jego Boską obecnością. To jest rzeczywistość. Aniołowie nic innego nie czynią, tylko w Nim żyją, a padając przed Jego Obliczem śpiewają nieustannie „Sanctus!”

Jakżeby nam było wówczas łatwo *pełnić jak Aniołowie Wolę Bożą z doskonałą i świętą obojętnością*, taką, jakiej wymaga od nas św. Wincenty.

Z jakimże pośpiechem, z jaką radością i doskonałością Aniołowie spełniają rozkazy Najwyższego. Nie rozbierają ich,

nie wynajdują sprzeciwów. Nie pogardzają nimi, choćby misja im powierzona wydała im się przykra i trudna. Nie zważają na to, co jest rozkazane, ale jedynie na Tego, Który rozkazuje i to wystarcza, by ich zniewolić do wierności.

Nasze biedne, ziemskie widoki nie są tak czyste i nie dosyć dzielimy anielską radość posłuszeństwa. Nie mamy ich świętego pośpiechu gdy chodzi o bieżenie tam, gdzie iść nie mamy ochoty, o wypełnienie urzędu, który nas kosztuje, o opuszczenie tego, do czego jesteśmy zbyt przywiązane.

Jednakże władza, to Bóg ukryty. My to wiemy, ale wiara nasza waha się, wobec ukrywającej Boga ludzkiej osoby. Straciłyśmy poczucie i zrozumienie Boga i błąkami się idąc za własnym poglądem.

A jednak doskonałe posłuszeństwo słodkim jest dla serca kochającego i duszy uległej. Ono czyni nas rzeczywiście podobnymi do duchów błogosławionych, które bez znużenia spełniają rozkazy Boże. Nie możemy naśladować całkowicie ich nieskalanej czystości, bo ileż to błędów plami nasze dusze, odtwórzmy przynajmniej pokornie ich niestrudzoną i świętą obojętność przyjmując bez sprzeciwów, bez rozbierania każde miejsce, dom czy urząd, jaki nam Bóg wyznaczył i gdzie nas oczekuje z mnóstwem łask, tych źródeł uświęcenia.

Św. Wincenty usilnie i po ojcowsku przynagła nas, byśmy się starały o tę św. obojętność, będącą cnotą doskonałych, których Bóg jest jedynym celem. a one nie mają innego pragnienia, jak służyć Mu z miłością.

Córka Miłosierdzia przywiązująca się jeszcze do swych zapatrywań, do swych upodobań, do swojej woli, daleka jest od doskonałości, jakiej Bóg od niej żąda. W naszym powołaniu w szczególny sposób trzeba składać ofiarę z takich przywiązań, by móc swobodnie spieszyć tam, gdzie On chce, czynić co On chce i tak długo, jak On tego chce.

Nie do nas należy rozbierać. Nie do nas należy odrzucać.

Posłuszeństwo nie jest aktem rozumu, ale aktem wiary i miłości. Pycha umysłu jest zawsze gotowa do przeciwstawiania się, podczas gdy serce pokorne ulega w milczeniu, składając Bogu w ofierze to, co mu najdroższe, ze względu na Jego chwałę.

Jakże pięknym byłoby Zgromadzenie i jakżeby się rozszerzyło, gdyby wszystkie Córki Miłosierdzia starały się być posłuszne jak Aniołowie tej, która im miejsce Boga zastępuje. Ież dałoby zbudowania świata i jak skutecznie zwalczałoby ducha nieuległości i buntu, który panuje w świecie pełnym zamieszania.

Cała ziemia byłaby wypełniona dobroczynnymi aniołami, urzeczywistniającymi ideał wymarzony przez św. Wincentego. W naszych domach spotykanoby aniołów pokoju, aniołów pokory, aniołów posłuszeństwa, podczas gdy ubodzy błogosławiliby swoich aniołów miłosierdzia, ze skupieniem i gorliwością spełniających swe święte postęgi.

Zanosząc w modlitwie do Boga potrzeby ubogich i zstępując do nich z otrzymanymi łaskami, jakże by nam łatwo było przemienić ten biedny świat, zlewając nań nadmiar Bożego życia, którym napełnione być powinny serca nasze dusz poświęconych i Córek św. Wincentego.

Czyż nie o to błagać będą Boga przez pośrednictwo Królowej Aniołów, wszystkie te, które rozumieją i chcą dać wszystko, by wzamian otrzymać stokroć przyrzeczone.

*Siostra Maria Antonina BLANCHOT*

---

## Wspomnienie o ś. p. Czcigodnym Ojcu Pod-Dyrektorze KSIĘDZU EDMUNDZIE CRAPEZ

Ascetyczna postać cicho i szybko przesuwająca się po korytarzach, jakby z pragnieniem, aby przejść niepostrzeżenie, takim od lat 40 znałyśmy w Domu Macierzystym zacnego Ks. Crapez... Oczy półprzymknięte za okularami, zawsze skupiony, widziało się to jasno, że przede wszystkim żył życiem wewnętrznym. A jednak, trudno wyobrazić sobie kogoś bardziej przystępnego, uprzejmego, zawsze na pogotowiu, by służyć bliźniemu pomocą.

Dla mnóstwa Sióstr Miłosierdzia, które korzystały z jego artykułów w Echu lub w pisemkach mariańskich, z jego wtor-

kowych nauk w Seminarium, z jego rad i wskazówek, chcemy tu podać garść wspomnień z jego działalności między nami.

Dwa lub trzy razy tygodniowo opuszczał swą Szkołę Apostolską w Gentilly, aby ze skrupulatną punktualnością stawić się w naszym Domu Macierzystym. Czy zimno, czy słońce, czy też palące promienie słońca, spieszył do kolejki podziemnej, by nią dojechać do ul. du Bac. Gdy mu czasem mówiono, że te stałe przejazdy są dla niego męczące, odpowiadał: Tak dobrze odmawiać różaniec w kolejce podziemnej! Ileż to różańcy ofiarował swej Królowej dobry Ks. Crapez w tych przejazdach?... To tajemnica, którą zna tylko Anioł Stróż towarzyszący mu wśród gwarynych tłumów, gdzie promieniował swym skupieniem i cichym spokojem. Gdy w czasie wojny kolejki jakiś czas nie kursowały, pieszo przebywał długą drogę z Gentilly do Domu Macierzystego, z koronką w rękę, nie uważając się za zwolnionego, z powodu tych okoliczności, od niesienia Zgromadzeniu swego poświęcenia.

Z wielką czarną teką pod pachą, przybywał Ks. Crapez na ul. du Bac 140, do tego domu, który tak kochał. Punkt o godzinie 2-jej udawał się do konfesjonału lub do Seminarium. W każdą czwartą niedzielę po południu prowadził Kółko Nauki Mariańskiej w Sekretariacie Dzieł. Należał do Komitetu kierowniczego Stowarzyszenia Dzieci Marii. Często też miewał zamówione wizyty w rozmównicy: to jakiś pisarz pragnie wydać coś o Siostrze Katarzynie i potrzebuje dokładnych i pewnych informacji, to jakiś kapłan przejazdem w Paryżu pragnie się z nim porozumieć, to jakaś panienska ze Stowarzyszenia Dzieci Marii potrzebuje rady i wskazówek... Ks. Crapez wie także, że czekają na niego w Sekretariacie Zgromadzenia ze względu na artykuł do Echa, w Sekretariacie Stowarzyszenia Dzieci Marii dla przejrzenia artykułów do pisemka mariańskiego, dla różnych decyzji i rad, dla spraw nowych grup Stowarzyszenia zakładających się w dalekich Indiach lub gdzieś w Afryce środkowej.

W międzyczasie Ks. Crapez zawsze znajdzie czas, by wstąpić na chwilę do kaplicy, gdzie jest dla niego jakby kawałek nieba. Nieruchomy wtedy, z wzrokiem utkwionym



w Najśw. Panną z kulą, przesuwa paciorki różańca lub ofiaruje swej Królowej modlitwy Małego Oficjum, łącząc się z Siostrą Katarzyną, jakby w zachwyceniu spoczywającą w swej szklanej trumnie.

Jeśli to wtorek, na pierwszy głos dzwonka na drugą, nie przerywając modlitwy zmierza do Seminarium. Czyni to już od ćwierć wieku, tylko wojna na jakiś czas przerwała tę tradycję, jednak skoro tylko zażądano, by do tego powrócić; nie ukrywał swojej radości. Było to w 1942 roku, gdy powołany został do podzielenia prac i trudów Czcig. Ks. Dyrektora, jako Pod-Dyrektor Sióstr Miłosierdzia.

Oto więc przychodzi do Seminarium, które kocha dla jego nadprzyrodzonej atmosfery, a przy tym kordeciki przedstawiają mu żywo świętą Siostrę Katarzynę z 1830 r. Zatem jakikolwiek temat jest omawiany, czy to konferencja moralna, czy komentarz encykliki papieskiej, zawsze wspomnieć musi o Siostrze Katarzynie i jej Niebiańskiej Królowej. Czarna teka napełniona jest cennymi dokumentami i notatkami dotyczącymi się wszelkich bieżących zagadnień życia religijnego i społecznego. Ledwie ukaże się jaka Encyklika, zanim nawet zostanie oficjalnie przetłumaczona i wydana, już Ks. Crapez rozbiera jej treść i znaczenie. Skoro tylko jakie wydarzenie zaznaczy się w życiu Kościoła, wobec tej kwestii na czasie musi ustąpić zwykły tok wtorkowych wykładów. Gdy nauka była nieco sucha, wtedy przy końcu, Ks. Crapez z tajemniczym uśmiechem wydobywał z teki jakiś zeszytek czy książeczkę i dla odprężenia siostrzyczek odczytywał zajmujący fakt lub jaką piękną legendę odnoszącą się zawsze do Najśw. Panny! Bo też jego nauki, od dawna już, możnaby zatytułować: „Życie moralne w szkole Najśw. Panny”. Nigdy nie może się oddalić od tej osi, dokoła której krąży i czerpie pokarm całe jego życie duchowe. Maria jest prawdziwie światłem jego życia i umiłowaniem jego serca. Gdy coś dotyczy Jej chwały, nigdy nie może zostać obojętnym. Jest najmocniej przekonany, że Niepokalane Serce Marii zbawi nasz biedny świat wykolejony. Gdy była mowa o tej jego umiłowanej idei, na bladą twarz jego występowały kolory, a w głosie słychać było akcenty, którychby nie przypuszczano.

Należał do narodowego Komitetu Kongresów mariańskich, których prezesem jest Biskup z Chartres. Z wielkim oddaniem pracował nad Stowarzyszeniem Dzieci Marii, to Stowarzyszenie zajmowało zawsze wielkie miejsce w myślach i sercu Ks. Crapez. Na rok co do dnia przed śmiercią, był właśnie Wszechświatowy Kongres Dzieci Marii, na którego wstępnym posiedzeniu wygłosił rys. historyczny Stowarzyszenia. Doskonale był do tego przygotowany, bo przez lat blisko 50 rozwój jego śledził szczegółowo.

Dnia 22 sierpnia, w uroczystość Niepokalanego Serca Marii, chory już będąc, wezwał do siebie jedną z Sióstr z Sekretariatu Stowarzyszenia i uczynił jakby swój testament w sprawie tego dzieła stale zmuszonego do walki, a zawsze żywotnego. Powtarzał z ufnością, jakiej niepodobna wyrazić: „Dzieło to nie zginie, ono wyszło z Niepokalanego Serca Marii; cieszę się, że mogę to Siostrze powiedzieć w dzień tej uroczystości. Św. Katarzyna nie pomyliła się przedstawiając życzenia Marii”.

Ostatnią jego radością było oglądanie suplik do Ojca Św. z podpisami Dzieci Marii. Sam zredagował w kwietniowym numerze pisemka Dzieci Marii tekst tej supliki, który natychmiast przetłumaczony został na wszystkie języki i wzniecił nieoczekiwany entuzjazm.

Było to w czasie ostatnich jego odwiedzin Domu Macierzystego. Przeglądając albumy z zachwytem i radością rzekł:

— Jakaż to będzie chwała dla Najśw. Panny, gdy dogmat o Wniebowzięciu zostanie ogłoszony; będzie to prawdziwie ostatni klejnot dodany do Jej korony.

Nie spodziewał się wtedy, że za kilka tygodni sam wpatrywać się będzie w oblicze Najśw. Panny ukoronowanej przez Swego Syna w chwale wiekuistej, a obok Niej, jego ukochana Święta, pokorna Siostra Katarzyna.

Święta Katarzyna! Jakże wiele dla niej pracował! Kiedyś w poufnej rozmowie opowiedział, że gdy był jeszcze bardzo młodym kapłanem, udał się pewnego dnia do Reuilly i zszedł do grobowej piwniczki, by dłuższy czas pomodlić się przy samej trumnie. Zrozumiał na tej cichej modlitwie, że otrzymał

szczególną łaskę do wyświeclania postaci tej uprzywilejowanej Siostry. Od tej chwili zabrał się do dzieła. Zapewne wszystkie znają i do tej pory czytają pierwszy drukowany życiorys Siostry Katarzyny, wydany w 1910 r. pod tytułem: „Wielebna Siostra Katarzyna Laboure”, gdzie szczegółowo opisane są objawienia Cudownego Medalika. Na rok przed Kanonizacją znów zabrał się do pióra i wydał książkę pod tytułem: „Posłannictwo zwierzone przez Niepokalane Serce Marii św. Katarzynie Laboure”. Pisał jako sumienny historyk i gorący czciciel Matki Najświętszej.

Żyjąc w tak bliskich stosunkach ze świętą jasnowidzącą, przejął się wielkimi jej cnotami pokory i milczenia. „Św. Katarzyna jest świętą od pokory”, powiedział Papież Pius XII, możemy powiedzieć, że jej historyk zasługuje na taką samą pochwałę. Ks. Crapez przechodził wśród nas jak uosobienie pokory. Dawno już zrozumiał, że aby się zbliżyć do Najśw. Dziewicy, trzeba jak Ona, zanurzyć się we własnym nicestwie. Na tej podstawowej cnotce, zakwitły u niego, jak u św. Wincentego, wszystkie inne cnoty, a zwłaszcza przedziwna miłość wylewająca się z jego serca.

Nigdy Ks. Crapez nie odmawiał żadnej usługi. Miał sposób bycia pełen prostoty i uprzejmości z jaką okazywał swoją gotowość do wszystkiego. Czy to chodziło o zredagowanie jakiego artykułu... w ostatniej chwili, czy o przyjęcie chwilowo do Gentilly jakiego młodzieńca znajdującego się w potrzebie, czy o pożyczenie jakiej książki, czy o przyjęcie do Dzieci Marii „in extremis” jakiej panienki umierającej w szpitalu i gorąco pragnącej tej łaski, niekiedy nawet chodziło o procesję z Najśw. Sakramentem, dla uświetnienia której chciano udziału jego młodzieży, nie umiał odmawiać. Gdy w Domu Macierzystym Sióstr utworzony został Komitet dla rozdzielania Pomocy Amerykańskiej, trzeba było znaleźć gdzieś garaże dla samochodów i składnice na rzeczy. Zapukano do bram Gentilly, które otwały się natychmiast. Ks. Superior Szkoły Apostolskiej, nie tylko nie wyrzekł słówka narzekania na sprawiony mu kłopot i niewygodę, ale jeszcze powiedział uprzejmie: „Znajdziecie nawet wśród naszej młodzieży dobrowolnych pomocników do wyładowywania platform!”

Bo Ks. Crapez, choć miał duszę kontemplatywną, posiadał przy tym dużo zmysłu praktycznego, tak cennego w naszym ziemskim istnieniu. Podobnie jak św. Wincenty, rozumiał głęboko potrzeby ludzkie i umiał dostosować się do okoliczności. Jednym rzutem oka oceniał trudność jakiegoś położenia, zawiłość sprawy, potrzeby ciała i potrzeby duszy. I tak od lat przeszło czterdziestu, nie tylko śledził historię Zgromadzenia, ale brał udział w jego dziełach. Bardzo się zawsze interesował dziełami młodzieży, współpracując ze swym kuzynem, Ks. Biskupem Crepin, nad kierownictwem patronatów, pomagał Siostrze Milcent w zakładaniu Związków zawodowych. Był wybitnie kompetentnym w sprawach społecznych. Zapatrywał się na nie w świetle Encyklik i ochotnie mówił o nich wobec najrozmaitszego audytorium, czy to były uczennice Szkoły pielęgniarskiej w Szpitalu św. Józefa, czy to różne grupy młodzieży męskiej lub żeńskiej, czy Dzieci Marii, albo Siostry Seminarzystki... On to zachęcił Siostry do zajmowania się wychowaniem fizycznym, tak ważnym dla zdrowia duszy. Gdy tworzyć się zaczęły pierwsze kółka, przyjmując je kiedyś w 1919 r. on nadał im nazwę „Promień sportowy„, aby ich działalność była jakby promieniem spływającym z rąk Najśw. Dziewicy i aby zawsze pozostawały pod Jej opieką.

\* \* \*

W jednym ze swoich rozważań na rok mariański 1930, dał na zakończenie, jako wiązanekę duchowną, tę modlitwę:

*Obym mógł tak żyć w miłości naszej Niepokalanej Matki i Jej Boskiego Syna, by danym mi było w ostatniej godzinie, złożyć poprostu moje serce w Sercu Jezusa, źródła i wzorce miłości, w Sercu Najśw. Panny, Królowej i Matki, Niepokalanej, Pośredniczki, Naprawicielki”.*

Ta modlitwa, która wytrysnęła z kapłańskiego serca całkowicie poświęconego Marii, spełniła się co do słowa. Śmierć jego była śmiercią sprawiedliwych i pokornych. Ten apostoł Najśw. Serc, mógł prawdziwie złożyć swoje serce z prostotą w Serca Jezusa i Marii, jak sobie tego życzył... I tak się stało *in simplicitate*, w niedzielę 4 września.

Bardzo zmęczony upałami lata, zachorował 26 lipca. Tego dnia, w oktawę św. Wincentego, odprawił ostatnią swoją Mszę św. w kaplicy Sióstr Miłosierdzia w Gentilly, gdzie od wielu lat odprawiał ją codziennie z budującą pobożnością. Lekarz polecił przewieść go do szpitala, na co chory zgodził się ze zwykłą sobie prostotą. Niestety, kuracja promieniami rentgena nie przyniosła poprawy, jakiej się spodziewano.

W pierwszy piątek września zaproponowano mu Ostatnie Namaszczenie. Zdziwił się zrazu, bo nie przypuszczał, aby stan jego był tak groźny, ale potem całym sercem zgodził się na to:

„Pragnę, rzekł, przyjąć sakrament chorych poprostu, bez specjalnych ceremonii, jako syn Kościoła św. Zresztą obie Rodziny będą miały swoich przedstawicieli — moi Konfratry tu będą... — Siostra, rzekł zwracając się do Przełożonej Szpitala św. Józefa, będzie przedstawicielką Najprz. Matki, a tym samym wszystkich Sióstr”.

Zatem po Komunii św. przyjął sakrament Ostatniego Namaszczenia, łącząc się ze wszystkimi modlitwami i czyniąc pobożnie znaki krzyża św. Potem odczytał formułkę św. Ślubów i rzekł wyraźnie, ze szczególnym naciskiem:

„Błogosławię wszystkie Siostry Miłosierdzia w osobie tych, które są tu obecne i pozostają w gotowości pracowania dla nich jeszcze, o ile się to Bogu będzie podobało”.

Potem udzielił im błogosławieństwa.

Odwiedziny Najprz. Matki poprzedniego dnia były dla niego specjalną radością, podobnie jak nazajutrz w sobotę, odwiedziny jednej z Sióstr, przysłanej przez Najprz. Matkę, która go upewniła, że Siostry modlą się za niego przed ołtarzem Panny Moźnej:

— Mój Ojciec, rzekła, Najśw. Panna bierze wszystkie Twoje zasługi w swoje ręce, jak tę kulę złotą, aby wszystko ofiarować Panu Bogu.

— Och tak! odrzekł czcigodny chory, Najśw. Panna z kulą ofiaruje wszystko. Ufam..., ufam całkowicie...

Noc z soboty na niedzielę była bardzo zła; jednakże w niedzielę rano rzekł do swej pielęgniarki:

*„Czekam na Pana Jezusa”*

Potem dodał: *„Po Komunii św. proszę pozostawić mnie samego jak najdłużej... Chcę z dnia dzisiejszego uczynić dzień milczenia i modlitwy...”*

Milczenie i modlitwa, było to jakby streszczenie całego życia świętobliwego Ks. Crapez!

Do końca zachował zadziwiającą przytomność umysłu.

Umysł jego nie przestawał pracować. Żył intensywnym życiem wewnętrznym, zauważyło to jego otoczenie. Dwa czy trzy razy wyraził myśl swoją mówiąc:

*„Duch Święty unosi się nad Kościołem...”*

Konanie jego trwało ledwie kwadrans. O godzinie 9.30, tej niedzieli 4-go września cicho zasnął w Panu...

Tego dnia w Domu Macierzystym rozpoczynały się rekolekcje. Wiele młodych Sióstr przybyłych na rekolekcje, dowiadując się o śmierci Ks. Crapez, jednogłośnie powtarzają: *„To on nam wskazywał drogę do poznania i ukochania Najśw. Panny”*.

Wskazywać drogę do poznania Najśw. Panny. To było rzeczywiście jego posłannictwo na tej ziemi. To też na zakończenie podamy wiersz, który sam Ks. Crapez kiedyś cytował, jako utwór pewnego świętobliwego zakonnika, a który doskonale dostosować się może do niego samego:

Skoro nadejdzie dla mnie ostatnia godzina,  
Co kończy ziemskie sprawy, a wieczność zaczyna,  
Kiedy mi szeptać będą modlitwy przy zgonie,  
Które, ufam, zakończę już przy Bożym tronie,  
Nie patrzcie wtedy w moje zmętniałe źrenice,  
Nie badajcie oddechu, ni puls, czy bije,  
Tylko wyrzeczcie imię Najświętszej Dziewicy:  
Jeśli serce nie zdrzży, to znak, że nie żyje...

---

# Ku Brazylii...

19 września i dni następne...

Najprzew. Matka sama opisała pierwsze dni swojej podróży, a towarzysząca Jej sekretarka brazylijska dopełnia jeszcze te szczegóły.

Na początek poważne opóźnienie; samolot, który miał unieść podróżne o godzinie czwartej, odleciał dopiero o 10.30! Na szczęście Siostry oczekujące na przewidzianych przystankach uprzedzone są o tym przez radio, aby nic nie zniechęciło ich ducha wiary... W ciągu całej podróży otrzymujemy telegraficzne wiadomości o pomyślnym jej przebiegu... Ale wszakże chciałoby się dowiedzieć trochę szczegółów. Podadzą nam je listy:

Nad Oceanem 20. IX 1949 r. godz. 18.

„Jakaż przestrzeń oddziela nas od Orly, pisze Najprz. Matka, a przeleż jakie zjednoczenie myśli i serc! Jakże łatwo się odnaleźć w Niezmierzoności Boga, gdy się kto wzniesie tak blisko Niego, w Nim!

„Aniołowie wiernie dopełnili swoją misję. Wszystko do tej pory dobrze poszło: jesteśmy parę tysięcy metrów ponad wodą, w niebie o przedziwnej czystości, gdzie Aniołowie mogą krążyć dowoli... Innych przechodniów prawie się nie spotyka, jest to całkowity spokój po dniach poprzednich tak pełnych ruchu...

Myśl instyktownie wznosi się do Boga w tych bezmiernych przestrzeniach drogi do Nieba i jakżeby można Go nie szukać znajdując się tak wysoko, a On jeszcze tak bardzo ponad nami, że możnaby stracić wszelką nadzieję osiągnięcia Go kiedykolwiek, gdyby się Go już nie posiadało w swej duszy...”

## A Siostra Bernardeta opowiada:

„Przybyłyśmy do Lizbony kwadrans przed trzecią (rano, 20 września), i znalazłyśmy sporą gromadkę Sióstr, których nie odstraszyła nocna pora... Było ich dużo więcej o godz. 4 popołudniu, ponieważ przybycie samolotu naznaczone było na piątą, czekały napróżno do 6-ej, ale dowiedziawszy się, że samolot dopiero po 9 odleci z Paryża, z wielkim żalem powracały do swoich domów. Te, które pozostały, otrzymały pozwolenie przyjąć Najprzew. Matkę bliźniętka samolotu: mały pokójek został dla niej zarezerwowany, był to wyjątek uczyniony na prośbę Ambasadorowej brazylijskiej w Portugalii. Obecne były: Siostra Wizytatorka portugalska ze swymi Siostrami Urzędniczkami, cztery Siostry Służebne, jedna Siostra z Brazylii i z Madrytu Siostra Asystentka przysłana przez Siostrę Wizytatorkę hiszpańską... Po godzinie rozmowy trzeba było wyruszyć w dalszą drogę. W Domu

Macierzystym Siostry wstawały, zatem niedługo zaczęły się modlitwy na tę intencję leżącą wszystkim na sercu.

O godzinie 11, 15 byliśmy w Dakar, a po półgodzinnym postoju samolot z powrotem wzniósł się w górę.

Druga część przeprawy poszła doskonale..."

„Teraz, wypatrują horyzont, opowiada znów Najprzew. Matka. W Paryżu jest w pół do siódmej, Siostry wychodzą z refektarza, a my szukamy linii lądu, który się jeszcze nie pokazuje. Trzeba będzie wprzód przebyć chmury, żeby coś na dole zobaczyć. Na razie jedziemy ponad mglistą przestrzenią, która się wydaje, jakby niebo na dole: błękitne obłoki, piękne jak Ten, który je stworzył, ale zobaczymy Go jeszcze o wiele piękniejszym po tamtej stronie, gdzie się ukrywa..

W Paryżu jest godzina 19-sta, za godzinę będziemy w Pernambuku.

Samolot nie mógł wystartować wcześniej, jak dopiero o czwartej (godzina brazylijska). Trzeba było trochę cierpliwości, bo policja sanitarna kazała na siebie czekać, na przeprowadzenie dezynfekcji samolotu.

Mimo późnej godziny i wielkiej odległości lotniska od miasta, białe kornety były bardzo liczne. Prędko wypatrzyły okienko, z którego śledził za nimi wzrok macierzyński... Chusteczki zaczęły powiewać, wszędzie była radość, udzieliła się nawet strażnikom i urzędnikom lotniska. Skoro tylko otwarto drzwi samolotu, Siostra Wizytatorka rzuciła się do schodów, by ucałować rękę Najprzew. Matce. Za nią wszystkie Inne Siostry, bo żadna nie chciała być na końcu: nikt z obecnych nie dziwił się temu, bo w Brazylii całowanie ręki jest znakiem szacunku.

Nasze Siostry z Pernambuko mogły dwie godziny cieszyć się Najprzew. Matką i tym powetować sobie trochę dzień stracony z powodu opóźnienia samolotu... bo całe miasto było powiadomione, radio tydzień naprzód ogłosiło program z zaproszeniami na uroczystą sumę i Inne ceremonie! A z tego wszystkiego nic nie było!"

## Trzeba jechać dalej, do Rio de Janeiro.

„Siostra Wizytatorka wsiadła do samolotu z Matką Naszą: jest godzina 6-ta (w Paryżu już dziesiąta wieczorem). Na lotnisku powiewają chusteczki, widać jeszcze białe kornety w cieniach wieczora... Potem już tylko morze i chmury. W godzinę później pogaszono wszystkie światła i trzeba spać.

O godzinie 10.30 zapalono wszystko z powrotem. Już dojeżdżamy. Na dole zatoka Rio, cała iluminowana. Ślicznie to wygląda wśród ciemnej nocy... Pięć minut przed jedenastą startujemy. Tylko trzy auta, ale cały Dom Centralny był na nogach i oczekiwał w kaplicy, gdzie stanęliśmy 20 minut przed dwunastą. Zabrzmiało z głębi serc płynące *Magnificat...*”

## Nazajutrz zaczęły się przyjęcia!

„Jestem pochłonięta, pisze Najprzew. Matka: rano zebranie Sióstr Służebnych; o godzinie 2-iej w Seminarium; o godzinie 5-iej Szkoła pielęgn-



nlarska, gdzie jest 97 uczennic. Żywotność do podziwu! Mnóstwo Sióstr, mnóstwo ludzi na mnie czeka... Nie mogę dłużej pisać, ale Siostry wiedzą dobrze, że myślę o nich mimo radości tych powitań."

---

## Inne nowiny.

### Z Ekwatoru.

Ks. Loubère, Dyrektor naszych Sióstr Prowincji Ekwatoru, opisuje ich położenie:

Kwito, dnia 5 września 1949 r.

Różne Prowincje Zgromadzenia okazały nam listownie swoje serdeczne zainteresowanie. Dopytują się o nowiny dotyczące naszej duchownej rodziny z Ekwatoru, po trzęsieniu ziemi, które 6 sierpnia wstrząsnęły Rzeczpospolitą i poczyniło tak straszne spustoszenia w trzech prowincjach środkowych: Kotopaxi, Tungurahua i Czimborazo. Około 6 tysięcy ludzi zostało zabitych, a przeszło 20 tysięcy rannych. Domy naszych Sióstr wszystkie są zburzone, albo nadają się tylko do rozebrania, z wyjątkiem szpitala w Latakunga. Zniszczone są: 4 kolegia w Latakunga, Ambato, Pillaro i Guano; dwa szpitale w Ambato i Pillaro; szpital dziecicy, macierzyństwo i żłobek w Ambato; ambulans i apteka w Guano.

Z tych wszystkich domów tylko kolegia w Latakunga (na 300 uczennic) i w Ambato (na 600 uczennic), były własnością Zgromadzenia. Odbudowę ich kosztować będzie około 50 tysięcy dolarów U. S. A. Inne domy należały do Opieki Społecznej albo do Zarządu miejskiego.

Najpilniejsze do zorganizowania są kolegia. Poleciliśmy naszym Siostrom, żeby rozpoczęły kurs nauki od pierwszego poniedziałku października. W tym celu usiłujemy postawić tymczasowe baraki dla ochrony dzieci w razie deszczu. Sądzymy, że te baraki służyć będą jakie dwa albo trzy lata; nie możemy się spodziewać, aby nasze kolegia wcześniej zostały odbudowane, tak z powodu naszego ubóstwa, jak i dla bardzo ograniczonych środków jakimi kraj rozporządza dla pośpiesznego wznoszenia budowli.

Oto już miesiąc upłynął od czasu tego kataklizmu!... Od tej pory ziemia nie przestała się trząść, przeszkadzając przedsięwziąć coś na stałe. Ale wstrząsy są coraz słabsze i ci, którzy przeżyli wdychają do chwili kiedy się to uspokoi i kiedy będą mogli budować domy i pracować. Do tej pory lud tych prowincji mieszka w polach albo na placach publicznych w schroniskach, na jakie kto zdobyć się może. Nasze Siostry także żyją pod namiotami, jak mogą, wśród biedaków, których umacniają swoją obecnością i swoim poświęceniem.

---

## Zmysł społeczny u Siostry Pielęgniarki.

Żyjemy w wieku specjalizacji do ostatnich granic. Ileż to rozgałęzień jest w każdej dziedzinie! Chcąc niechcąc, my również musimy się specjalizować, aby zyskać Dyplomy, konieczne dla pracowania w Służbie Ubogich. Inny jest we Francji dyplom pielęgniarki, a inny Pomocnicy Społecznej.

Pielęgniarka jest wyszkolona do pielęgnowania i chętnie do tego jednego zadania ogranicza swoje obowiązki stanu; obce są dla niej obowiązki Opiekunki Społecznej, zaś ta ostatnia trochę z góry patrzy na pracę szpitalną.

My jednakże, Siostry Miłosierdzia, wezwane do pielęgnowania chorych czy to po szpitalach, czy w ambulatoriach, nie możemy zadowolnić się działalnością w ciasnych ramach naszej specjalności. Z pewnością nie byłoby to po myśli św. Wincentego.

Ten *zmysł społeczny*, o którym obecnie wiele się mówi i który mógłby zdawać się zbyteczny niektórym pielęgniarkom szpitalnym, czyż nie jest podstawą tego, co w św. Wincentym nazwano odczuciem ubogiego. Dla niego poznać ubogiego, to zrozumieć go całkowicie, wszystkie jego potrzeby tak materialne jak duchowe, potrzeby jego ciała równie jak jego duszy; by zaś tak dobrze go poznać, sądził, że nie należy odłączać go od jego życiowego środowiska. Św. Wincenty wiedział doskonale, że ograniczając swoje usługi, tym samym ogranicza się dobro, jakie możnaby dokonać. Zatem nie rozumiałaby dostatecznie skutecznej pomocy duchowej i materialnej, o jakiej św. Wincenty marzył dla Ubogiego, ta Siostra, któraby się ograniczała do dokładnego i roztropnego spełnienia przepisów lekarza, w razie potrzeby umiałaby się zdobyć na dowody poświęcenia, choćby troskliwie zajmowała się chorym, ale z uwagą skierowaną wyłącznie na jego chorobę.

Dla św. Wincentego chory jest przede wszystkim „człowiekiem”, istotą ludzką, która żyje, czuje, myśli i cierpi, nie w odosobnieniu, ale zawsze w zależności od tych, którzy stanowią jego rodzinę, od środowiska, gdzie umieściła go Opatrzność od wszystkich okoliczności, które na niego wpływają.

Czy Siostra Miłosierdzia będzie mogła wypełnić należycie swoje powołanie zrozumienia ubogiego dla zbawienia jego duszy, jeżeli będzie tylko pielęgniarką w ścisłym znaczeniu tego słowa?

Nie trzeba, aby Siostra Miłosierdzia pielęgniarka, choćby trochę uległa temu niebezpieczeństwu. Oczywiście nikt od niej nie żąda, by miała spełniać zadanie Opiekunki Społecznej; urząd jej na to nie pozwala. Ale nie posiadając znajomości wszystkich praw społecznych, może i powinna być „społeczną”, mieć „zmysł społeczny”.

### **Jak Siostra pielęgnująca chorych po mieszkaniach może wykorzystać swój „zmysł społeczny”?**

Wstępując do rodzin dla dokonania zabiegów pielęgniarskich, możemy to stwierdzić, że zawsze mile jest przyjmowana, a jeśli jest dobra, współczująca i kompetentna, szybko zyskuje zaufanie tego czy tej, do której przychodzi. Prędko zatem zapoznaje się z trudnościami tej rodziny i nie może pozostać wobec nich obojętną. Taktownie i dyskretnie będzie mogła oddać niejedną usługę i odnieść się do wykwalifikowanej Pomocnicy Społecznej, która dopełni co będzie potrzeba. Będzie tu zręczną i bardzo cenną pośredniczką.

Na przykład: jakaś biedna rakowata staruszka, mieszka na poddaszu, a jakież ma środki utrzymania? Oto mała emerytura i dorabia sobie trochę robotą szydełkową, lub na drutach. Pewnego dnia Siostra przychodzi i ubolewa nad zimnem panującym w izdebce. „Proszę Siostry, powiada staruszka, nie skarżąc się, nie mogę kupować węgla, bo jest zbyt drogi. Jak mi bardzo zimno to wchodzę do łóżka”. Biedna staruszka, całe życie pracowała i żyła uczciwie, a teraz w takiej jest nędzy, że nie ma za co kupić parę kilo węgla... Czy Siostra mogłaby nie postarać się temu zaradzić? Jej obowiązkiem jest zainteresować się tym położeniem i zaalarmować Pomocnicę Społeczną, która jej dostarczy bony na węgiel. W ogrzanej izbie łatwiej będzie pomówić ze staruszką o Panu Bogu, Który zapewne niezadługo zabierze ją do Siebie...

Jest to także pracą społeczną, gdy pielęgnując chorą matkę daje się jej możliwość pozostania w domu, zapobiega

się rozłączeniu rodziny, która inaczej łatwo uległaby rozbięciu. Ilekroć to młodych kobiet wobec zniszczonego lub skompromitowanego domowego ogniska mogłoby powiedzieć: „To się zaczęło kiedy byłam w szpitalu”. Kiedy Siostra wezwana jest do pielęgnowania dziecka, w takim razie także zapobiega rozłączeniu. Gdy tylko to jest możliwe, trzeba się starać nie dopuścić, by matka oddawała dziecko do szpitala: matka, która sama pielęguje swoje dziecko, nawet, a raczej zwłaszcza gdy to czyni kosztem czuwań i zmęczenia, tym silniej się do niego przywiązuje. Za każdym razem, gdy można przeszkodzić rozłączeniu się członków rodziny, gdy się stwarza okazję do ściślejszego połączenia ich z sobą przez czynne znoszenie wspólnych trosk i cierpień, dokonuje się piękną pracą społeczną. Jakże św. Wincenty byłby to pochwalił i pobłogosławił...

I tak po trochu, Siostra przez swoje starania, zdobywa sobie uznanie i przywiązanie chorego i jego otoczenia. I wkrótce będzie mogła, a nawet powinna to sobie uważać za obowiązek, by udzielić trochę rad potrzebnych, jakich wymaga położenie. Raz będzie mogła powiedzieć coś tyżącego higieny, to znów zaczepić kwestię wychowania, a tak potrochu sięgnąć do świątyni dusz. Oto zapłakana młoda kobieta, u wezglowia męża, któremu Siostra przed chwilą zamknęła oczy, z prawdziwie dziecięcym zaufaniem zapytuje jak będzie mogła teraz urządzić sobie nowe życie: pozostała bez żadnych zasobów, bo wszystko wydała w nadziei uratowania męża! Czy Siostra może nie podjąć tej „pracy społecznej”? Ręka serdecznie podana pozwoli zbliżyć tę duszę do Boga.

Jakże potrzeba Siostrze „zmysłu społecznego” wobec np. biednej rodziny przerażonej perspektywą jakiejś operacji, lub nieuchronnego zgonu. Prawie zawsze będzie musiała dołączyć ten zmysł do swej kompetencji pielęgniarskiej, by dojść do tego, co jest ostatecznym celem wszystkiej jej pracy: dobro dusz jej Ubogich.

### **Jak Siostra w szpitalu może wykorzystać swój „zmysł społeczny”.**

Podobnie jak Siostra pielęgnowająca chorych po mieszkaniach, Siostra szpitalna również prędko zyska zaufanie swego chorego. Ale jako prawdziwa córka św. Wincentego, skorzy-

sta z tego zaufania jedynie dla dobra jego duszy. Jako córka św. Wincentego starać się też będzie poznać wszystkie potrzeby ubogiego. Nie przez ankietę lub urzędowy kwestionariusz, ale po trochu, w miarę jak będzie usposobiony do mówienia. Nigdy nie wydobędzie zwierzenia naleganiem, ani nie okaże w tym względzie niedyskretnej ciekawości, ale natomiast okaże nadprzyrodzone pragnienie dowiedzenia się tego, co go dotyczy, aby mu tym skuteczniej móc służyć.

Łatwo jej będzie później porozumieć się z Opiekunką Społeczną szpitala, aby chory mógł otrzymać wszelką potrzebną mu pomoc, czy to pieniężną, czy rodzinną, czy społeczną.

Nierzadko spotyka się podobne położenie, jak tej kobiety, która uległa wielkiej klęsce w dużym mieście i ze łzami mówiła do Siostry: „Jakże mi pilno wypisać się do domu, a już sześć miesięcy leżę w szpitalu! Mąż mój był dawniej dobrym, spokojnym człowiekiem, a teraz zaczyna pić. Dano nam na mieszkanie stodołę. To Siostra rozumie, jak wróci z pracy i sam się znajdzie, to mu się tam nie podoba i myśli tylko o tym, żeby iść do kolegów do kawiarni...” Dobra to sposobność dla Siostry porozumienia się z Opiekunką Społeczną, aby znalazła jakie mieszkanie i wyratowała to małżeństwo.

Siostra Miłosierdzia prawdziwie rozumiejąca swego chorego, ma jeszcze poważne zadanie społeczne do spełnienia wobec jego rodziny. To znaczy, że bynajmniej nie traci czasu kiedy się bliżej zapoznaje z jego rodziną i przyjaciółmi. Jakżeby mogła bez tego przedłużyć dobroczynną radość ich odwiedzin rozmawiając z chorym o tych, którzy mu są drodzy? Jest to radością i pokrzepieniem dla ojca rodziny, gdy widzi, że Siostra interesuje się jego dziećmi, że pogłaszcze, pobawi się z maleństwem, a potem dopytuje się o niego. Nieraz podobne rozmowy są najlepszym sposobem do utrwalenia chwiejącej się moralności.

Siostra zatem nie powinna systematycznie usuwać się do swego pokoiku w godzinie odwiedzin i zamknąć się tam, żeby mieć spokój. Znaczyłoby to, że źle rozumie swoje zadanie. Powinna przeciwnie, być obecną, nie dla drobiazgowego pilnowania, ale aby być na usługi wszystkim, aby zapoznać się z rodzinami i odpowiadać na zapytania: czyż matka nie

ma prawa wiedzieć jakie zabiegi zrobiono jej dziecku? a mąż jak się miewa jego żona? Siostra może doskonale poinformować rodziny nie naruszając tajemnicy zawodowej. Uczyni to delikatnie, czasem z wielką oględnością i dobrocią, nie jak urzędnik udzielający informacji. Rzecz pewna, że w szpitalu musi być porządek, musi być regulamin i należy go pilnować, ale to nie racja, by miał panować tam duch „koszarowy”. Przeciwnie, naszym zadaniem jest starać się o wprowadzenie raczej ducha rodzinnego.

Sala szpitalna powinna być zawsze czysta, ale to nie powinno być skrępowaniem dla chorych:

Niechże Siostra nie zasypuje wymówkami biedną kobietę, która przez niezręczność rozlała trochę wody czy kawy na prześcieradło: troska o czystość prześcieradła czy posadzki nie powinna być tak wielka, aby miała zwalniać z względów grzeczności i wyrozumiałości, jakie się należą chorym. Oto biedna trzęsąca się staruszka nie śmie tknąć swojej kawy, żeby jej nie wylać: tak ostro była za to wyłajana... Gdyby przyszła nam podobna pokusa, zrobimy mały rachunek sumienia i zapytajmy się siebie: „Gdybym w niej widziała Pana Jezusa, czybym tak postąpiła? A nawet, czy uczyniłabym tak samo, gdyby chodziło o młodą panią X..., żonę kierownika? Zapewne nie”. Jeżeli ta biedna staruszka nie może utrzymać kubka, należy jej w tym pomóc. To właśnie jest zadaniem Siostry, żeby nieść pomoc, gdzie tego potrzeba!

Jest to konieczne, by Siostra pielęgniarka poznała psychologiczne położenie swoich chorych, aby dołożyła wszelkich starań dla ich dobra.

Wtedy będzie mogła, na przykład, uprosić chirurga o jak najprędsze zoperowanie matki, której obecność w domu jest niezbędna. Lekarz nie zdając sobie z tego sprawy, zwracając uwagę jedynie na stan chorej, mógłby zwlekać powodując tym wiele cierpienia i straty tak moralne jak i materialne. Siostra wiedząc o tym wszystkim, może temu zapobiec. Będzie też mogła wymóc na lekarzu, któremu się spieszy, by nie odszedł bez zbadania chorego, z daleka przybyłego na poradę, czeka on już parę godzin i miałby usłyszeć te słowa:

„Dziś nie mam czasu, proszę przyjść za tydzień”. Biedny człowiek stracił cały dzień, zmęczył się, wykosztował na drogę, a zawiedziony w swej nadziei czuje, że potraktowano go raczej jak martwą rzecz, nie jak „człowieka”. Siostra, jako córka św. Wincentego, powinna wniknąć w to położenie biedaka i usiłować przekonać zbyt spieszącego się lekarza.

W tym samym duchu wstawi się o dłuższe pozostawienie w szpitalu chorego, bardzo jeszcze osłabionego, który swoją rekonwalescencję musiałby spędzić w zimnej izbie na poddaszu lub wśród hałaśliwej gromady dzieci mieszkając z nimi w jednej, jedynej stancji. Łatwo otrzyma takie przedłużenie, jeżeli ordynator oddziału zrozumie położenie i ma choć trochę zmysłu społecznego, ale w razie gdyby nie chciał czy nie mógł przychylić się do tego, Siostra powinna szybko zwrócić się do Opiekunki Społecznej, by wyrobiła biedakowi miejsce w domu dla rekonwalescentów.

Wreszcie, św. Wincenty dałby Siostrze Pielęgniarsce jedno jeszcze zalecenie, dotyczące się „szacunku” dla chorego. On sam, tak głęboko przejęty „wysoką godnością Ubogiego”, jak się wyraził Bossuet, cóżby powiedział słysząc tak często używane zdania: „Proszę to zanieść 12-tej albo 15-tej? albo taką relację Doktorowi: „Przysłano nam na salę jeden żołądek”, lub jeszcze „Czy zaprowadzić na salę operacyjną ten karbunkuł?” Czyż to tak trudno okazać szacunek naszym chorym? Nie przyzwyczajajmy się do traktowania zbyt swobodnie tych, których św. Wincenty nazwał „naszymi Panami!”

Miejmy politowanie dla biedaków, niekiedy przeszło godzinę badanych wobec całej gromady studentów i przed nimi wypytywanych o rzeczy przykre i upokarzające. Starajmy się ich zrozumieć, postawmy się na ich miejscu, a to nam pomoże podwoić względem nich dobroć i delikatność... okazywać im szacunek, do którego mają podwójne prawo: jako istoty ludzkie i jako chorzy, cierpiące członki Jezusa Chrystusa.

Tu jak wszędzie, ostatnie słowo ma zawsze miłosierdzie i miłość. Ona tłumaczy postawę św. Wincentego i postawę, jakiej on żąda od Siostry Miłosierdzia wobec jej „ukochanych Panów”.

Podziwiamy raz jeszcze tę miłość naszego Błogosł. Ojca, tak pełną zrozumienia dla Ubogiego, miłość, która mu pokażała dokładnie, co jest potrzebne Służebnicom Ubogich.

Nasi współcześni nic nowego nie wymyślili! Dawno już św. Wincenty dał Ubogiemu Pielęgniarkę i Opiekunkę Społeczną, albo lepiej mówiąc, widział, że aby przynieść choremu skuteczną pomoc, Siostra Miłosierdzia posiadać powinna nie tylko zmysł pielęgniarski harmonijnie złączony ze zmysłem społecznym, ale przede wszystkim, ma to przepoić miłością Chrystusową... „ponieważ, jak mówił, gdy się ma Boga w sercu, wtedy wszystko, co z tego serca wychodzi, jest jakby płomykiem przenikającym do serca chorego; jest to balsam, który wszystko wonią swoją napełnia”.

\* \* \*

Na świeżo odbytym Kongresie Zjednoczenia Katolickiego w Służbie Społecznej, doktor Delore, w swej Konferencji: „Szpital na skalę ludzką”, na to właśnie położył szczególny nacisk:

„Ponad psychiką chorego jest jego dusza. Ponad naszymi ścisłymi obowiązkami jest miłość bliźniego, który cierpi, niepokoi się i do nas się zwraca... W szpitalu bardziej niż gdziekolwiek indziej jest sposobność do pełnienia miłosierdzia, sposobność stała, jak gdyby skoncentrowana...

Jest to miłosierdzie okazywać zawsze, nawet w wypadkach beznadziejnych, że się nic nie zaniedba, że się uczyni wszystko, że się dojdzie do granic wszelkich możliwości medycyny.

Jest to miłosierdzie okazywać życzliwość pod wszelkimi postaciami: cierpliwość, uprzedzającą dobroć, uprzejmość i grzeczność. Grzeczność przy wypytywaniu, przy badaniu, grzeczność w sposobie podania porcji, zrobienia zabiegu, przyłożenia opatrunku lub maski do usypiania.

Jest to miłosierdzie zachować wśród chorych twarz jasną i pogodną, nawet gdy samemu jest się zmęczonym lub cierpiącym czy zatroskanym. Niezmiernie dobroczynne jest w szpitalu promieniowanie innego rodzaju niż naszych aparatów



rentgenowskich czy im podobnych. To promieniowanie tych, co pracują z powołania, w radości i z miłością. Nie bądźmy zatem skąpymi w oznakach sympatii (w pełnym znaczeniu tego wyrazu), jedno słowo, proste spojrzenie, nawet w przechodzie, to nas tak mało kosztuje, a jednak tak jest cenne, tak wielkie miejsce zajmuje w ciągu dnia dla chorego, który to śledzi i to przyjmuje. Ileż to popełniamy grzechów opuszczenia przez milczenie lub obojętność będącą owocem przyzwyczajenia się do widoku cierpień i pewne zniekształcenie zawodowe, któremu tylko świętość może całkowicie się oprzeć.

Porozmawiać z każdym ze swych chorych, zainteresować się jego położeniem osobistym czy rodzinnym, zapytać jakie z domu otrzymał wiadomości, dobre czy złe: dodać otuchy, odwagi, pocieszyć; nie ograniczać swoją działalność według zegara, nie dawać tylko swoje 8 godzin pracy, swoją wiedzę i pomoc techniczną, ale dawać siebie samego, to jest cechą prawdziwych powołań pielęgniarskich. które, nie wahajmy się to przyznać, zachowały ideał służby społecznej.

Nie w podręcznikach ani w regulaminach znalazły natchnienie do takiego postępowania, ale w wyższych sferach.

Śmiało zatem twierdzić możemy: szpital będzie na skalę ludzką tylko w takim razie, jeżeli miłosierdzie nie będzie poświęcone technice, jeżeli przy najbardziej posuniętym postępie nauki, uszanowana będzie osobowość chorego na wszystkich punktach widzenia: fizycznym, umysłowym i duchowym. To jest ten szacunek dla chorego, o jakim mówił św. Wincenty a Paulo..."

---

## Wiadomości z prowincji krakowskiej.

**Wspomnienia o ś. p. S. Marii Zarytkiewicz, zmarłej w Tenczynku, dnia 4 stycznia 1949 r., w wieku lat 67, powołania 45 i S. Marii Czarlińskiej, zmarłej w Domu Centralnym w Krakowie, dnia 14 lipca, w wieku lat 69, powołania 46.**

Wiadomość o niespodziewanej śmierci zacnej S. Marii Zarytkiewicz wywołała wielki żal: jako długoletnia Siostra Służebna w kilku domach, była ogólnie znana, ceniona i kochana. Wszędzie, gdziekolwiek ją Opatrzność umieściła, zostawiła jak najlepsze wspomnienia. Długo, bo 25 lat była w Mariampolu, najpierw przy dzieciach domowych, a potem jako Siostra Służebna. Dzieci kochała bardzo i wychowywała je z sercem, ale rozumnie i roztropnie, wdrażała do pracy bez przeciążania i przygotowywała do dalszego życia. Następnie była Siostrą Służebną w Założcach, w Rohatynie, a przed ostatnią wojną w 1938 r. przybyła po śmierci ś. p. S. Zientak, do św. Kazimierza we Lwowie by zająć jej miejsce. Siostry jednomyślnie mówią, że S. Zarytkiewicz była bardzo pobożna, regularna, gospodarna i zaradna, a zawsze pełna miłości i pokój czyniąca. Szczególnie w czasie wojny, droga S. Zarytkiewicz dała dowody wielkiej odwagi, poświęcenia i miłości. W domu św. Kazimierza we Lwowie zebrało się siedem naszych domów wysiedlonych i wszystkie te rodzinki żyły w zgodzie i miłości pod opieką dobrej, gościnnej Siostry Starszej. Dobra ta Siostra tuliła nie tylko Siostry, ale i różnych biedaków i bezdomnych, a dla każdego człowieka poszczególnie miała zrozumienie, serce i wchodziła w potrzeby danej jednostki. — Zawsze pogodna, poddana woli Bożej, dawała otuchy i rozweselała, była pocieszycielką dla wszystkich. Ostatnią placówkę na urzędzie Siostry Służebnej w Tenczynku, objęła w 1946 roku, ze zdrowiem już mocno zniszczonym. Mimo to zabrała się do swych obowiązków z całą gorliwością, a choć miała wiele trudności i różne niespodziewane a przykre wypadki w gospodarstwie, umiała wszystko znieść spokojnie, cicho i z uległością Boskim rozporządzeniom. W końcu grudnia 1948 r. była w Domu Centralnym i załatwiła

wszystko, co w tym czasie należało uczynić, a w kilka dni potem, po dwudniowej chorobie na zapalenie płuc, odeszła z bronią w rękę, do Boga, po nagrodę za wierną służbę.

Siostra Maria CZARLIŃSKA odeszła do Boga po długich i ciężkich cierpieniach, zostawiając pamięć prawdziwej Córkę Miłosierdzia. Oddała wiele usług Zgromadzeniu na różnych posterunkach pracy, na których odznaczała się wszędzie umiłowaniem Reguł św., pobożnością, akuratnością w pracy i poświęceniem. S. Maria Czarlińska pochodziła z zacnej, głęboko religijnej rodziny ziemiańskiej na Pomorzu. Przyszła na świat w Bielawach, koło Torunia, jako 9-te i ostatnie dziecko pp. Czarlińskich. Nad jej kołyską zawisła żałoba, bo miała zaledwie 9-ty miesiąc, gdy straciła ojca. Nie rozumiała wtedy jednak nieszczęścia i niebieskie oczęta uśmiechały się radośnie do mamusi i rodzeństwa, których jako benjaminek, zwana w dzieciństwie „Misią”, była ukochaniem. Wzrastała zdrowo w tej atmosferze ciepła rodzinnego. Początkowe nauki pobierała w domu, a następnie umieszczona została na wzorowej pensji p. Łaszewskiej w Kościerzynie. Przebyła tam dobrych kilka lat, zdobyła znajomość obcych języków i dyplom nauczycielski. Tymczasem bracia i siostry opuszczali kolejno dom rodzinny, aż po wstąpieniu do Zgromadzenia jej starszej siostry Melanii, została sama z ukochaną matką. Poświęciła się zawodowi nauczycielskiemu, przez jakiś czas uczyła też na pensji p. Kaplińskiej w Krakowie. Była to panienka wesoła i towarzyska, ale podobno nie rwała się do świata. Kiedy i w jaki sposób pociągnął ją Pan Jezus do Swojej służby, nie wiadomo. Po załatwieniu spraw rodzinnych i umieszczeniu matki w Chełmnie, u naszych Sióstr, p. Maria rozpoczęła w roku 1903 postulat w domu św. Stanisława w Krakowie. Po wzięciu św. sukni, 21 października 1904 r. umieszczoną została w Zakładzie św. Kazimierza we Lwowie, potem pracowała jako Siostra nauczycielka w Przeworsku i w Zakładzie św. Józefa w Krakowie. Dzieci otaczała miłością, troszczyła się o nie, urabiała, pouczała i z gorliwością prowadziła do Boga. Sama ogromnie prawa i prosta, nie mając doświadczenia, nieraz dała się naciągnąć urwisom. W roku 1911 posłuszeństwo skierowało ją na zupełnie inne tory. Po przeby-

tej operacji na wyrostek, nie wróciła już do dzieci. Właśnie wtenczas zapoczątkowano Szkołę Pielęgniarską PP. Ekonomek przy Domu Centralnym (w dzisiejszym szpitaliku) i Przełożeni zdecydowali, by Siostrę Marię przygotować na instruktorkę tej szkoły. Najpierw sama musiała przejść odpowiedni kurs teorii pielęgniarstwa, dawany w tejże szkole przez wybitnych lekarzy. Po zdaniu egzaminu, widzimy S. Marię jako instruktorkę do r. 1914, w którym to roku Przełożeni wysłali ją do Francji, by się przypatrzyła tamtejszej pracy pielęgniarskiej. Zaskoczona przez wojnę, nie traciła czasu i nabyła wiele wiadomości w zakresie pielęgniarstwa. Pracowała w ambulansie, na stacjach kolejowych i w Szpitalu św. Józefa w Paryżu, za czasów Najprzew. Matki Inchelein, o której zachowała niezatarte wspomnienie i miała zawsze dla niej głęboką cześć. Po długich staraniach, udało się jej powrócić przez Szwajcarię do Polski około roku 1916. Tu najpierw przeznaczona do rannych żołnierzy w Centralnym Domu Księży Misjonarzy na Stradomiu, następnie przebywała w ambulatorium Centralnego Domu Sióstr. Znowu wraca do Szkoły Pielęgniarskiej, ale na krótko. Wola Boża przenosi ją do Lwowa, do Domu św. Kazimierza, gdzie czeka ją uciążliwa praca. Zamianowana Siostrą Służebną, ma się jednocześnie zajmować tworzącą się Szkołą pielęgniarską przy Szpitalu Państwowym we Lwowie. Praca to była wyczerpująca i bardzo pochłaniająca, ale Siostra Maria nie szczędziła ani sił ani czasu, a gdy nie starczyło dnia, poświęcała i noce dla spełniania obowiązku. Swą dawną Siostrę Służebną z pierwszych lat powołania, S. Zdanowicz, pozostałą w domu, otoczyła należnym szacunkiem i miłością.

Najcięższy jednak trud poniosła Siostra Maria przy przebudowie Zakładu wychowawczego na Szpital Opatrzności, które to dzieło powierzyli jej Przełożeni, przenosząc ją od św. Kazimierza do Krakowa. Ile w to dzieło włożyła sił, ile zniosła trosk i trudów, wiedzą tylko te Siostry, które to widziały i współpracowały. W urządzenie tego szpitala włożyła całą swoją inteligencję i całe poświęcenie. Dokonała dzieła: szpital uruchomiono, ale mało kto wiedział jakim to okupiła cierpieniem, z jakim trudem wlokła swą chorą, spuchniętą nogę, pamiętkę po dawnej operacji. Chorych otoczyła serdeczną

Opieką. Wymagała, by Siostry służyły im w duchu św. Wincentego, sama ich odwiedzała i pamiętała o ich potrzebach. Dużo też serca okazywała dzieciom w ochronce, będącej na terenie szpitala i Stowarzyszeniu Dzieci Marii. W trzy lata po otwarciu szpitala, wola Boża przeniosła S. Marię do szpitala św. Ludwika w Krakowie. Żegnana była z żalem, nie tylko przez Siostry, ale i przez lekarzy, którzy ją bardzo cenili. Na nowym posterunku oddała się znowu całym sercem, jako Siostra Służebna, swym nowym obowiązkom. Siostry mówią jednomyślnie, że na tym stanowisku była prawdziwie macierzyńską, dbała o zdrowie swych towarzyszek i o wszystkie ich potrzeby doczesne, jak również gorliwie się starała o ich wyrobienie duchowne, dając sama przykład wierności Regułom św. i zwyczajom Zgromadzenia. W czynieniu uwag była bardzo delikatna, a jeśli zdarzyło się czasem, że z ułomności ludzkiej odniosła się ostrzej do towarzyszki, nie udała się na spoczynek, dopóki jej pokornie nie przeprosiła. W roku 1934 Przełożeni zamianowali Siostrę Marię Siostrą Służebną szpitala w Tarnopolu, gdzie ją czekały nieprzewidziane wypadki wojny. Wiele tam przeżyła i przecierpiała, tak moralnie jak i fizycznie, to też kiedy w 1945 roku wróciła do Domu Centralnego, to już ze zdrowiem tak zniszczonym, że mimo najlepszych chęci, nie mogłaby się już podjąć odpowiedzialnego urzędu. Mimo to jednak nie spoczęła. Jej przywiązanie do Zgromadzenia i pracowitość dodawały jej sił i bardzo pożytecznie pomagała w sekretariacie. W marcu b. r. powaliło ją zapalenie opłucnej z wysiękiem i już się nie podniosła. Wprawdzie zapalenie przeszło, ale żołądek oddawna już chory i nie pozwalający się odżywiać, a także chore serce przywiodły ją do zupełnego wyniszczenia. Cierpiała bardzo, lecz zawsze wierna, łączyła się z modlitwami Zgromadzenia i na jego intencję ofiarowywała swoje cierpienia. Wyczerpana do ostateczności, poszła po wieczną nagrodę do Pana, któremu tak wiernie służyła.

---





